



ANNA STUART

STRAŻNICZKA BERLIŃSKIEGO ZOO

BUKOWY LAS

PROLOG

Katharina Heinroth

Ursula Franke

Gisela Schultz

Sasha Eberhard

Hrabina Sylvie

Anke?

Dłonie Bethan drżały, gdy wodziła wzrokiem po dziwnej liście osób – spisała ją lata temu matka, co rozpoznawała po drogim jej sercu charakterze pisma. U góry listy przypięto niewielką srebrną broszkę w kształcie pulchnego hipopotama. Ostrożnie ją odpięła, by zaraz wpiąć w kłapę swojego płaszcza. Dłoń jej przy tym drgnęła, przez co ukłuła się szpilką w palec, ale przyjęła ten ból niemal z ulgą. Przypomniał o strasznym dniu, w którym natrafiła na ten dziś pożółkły już kawałek papieru.

Miała wtedy jedenaście lat, jej żaloba była świeża i bolesna. Pogrzeb matki zapamiętała jako okropny; po wszystkim miała ochotę wtulić się w ramiona taty, szukając w nich ratunku przed zalewem wielkiego żalu – bała się, że smutek ją zatopi. Jak na złość po ich domu kręciły się tłumy ludzi – pijących, zalewających się łzami i bez końca powtarzających dziewczynce, jak bardzo Jana ją kochała.

Bethan nie potrzebowała tych zapewnień, oddałaby wszystko, by móc wciąż, na żywo, doświadczać miłości mamy – która karmiła ją za to, że zostawia skórki od chleba z kanapek, która suszyła jej głowę o zadania domowe, która zawsze smażyła dla niej naleśniki w sobotni poranek. Nie chciała objąć współczucia – pragnęła przytulić się do mamy, chciała jej łaskotek. Gdy podano jedzenie, wymknęła się i wcisnęła pod łóżko rodziców w sypialni na piętrze. W wieku jedenastu lat z trudem się tam mieściła, ale i tak czuła, że nie znajdzie dla siebie lepszego miejsca. Równie dobrym pomysłem wydało jej się zabranie pod łóżko szkatułki z mamą biżuterią – jakby był to wehikuł czasu.

W pewnym sensie faktycznie tak było – tyle że szkatułka przeniosła ją do cudzej przeszłości. Oto tam, pod ładnymi naszyjnikami i bransoletkami pochodzącymi ze szczęśliwszych czasów, leżała broszka z hipopotamem. Uroczę zwierzątko przykuło jej wzrok od razu, podobnie jak niewielka kartka papieru, na którą teraz patrzyła – wypełniona kobiecymi imionami zapisanymi charakterystycznym, zaokrąglonym, europejskim pismem matki.

Bethan wpatrywała się w karteluszek, aż jej oczy, zaczerwienione od płaczu, zamgliły coś więcej niż smutek. Od zawsze fascynowały ją niemieckie korzenie matki i jej język, który stanowił ich mały, prywatny kod porozumienia. Uwielbiała jeździć do rodziny w Niemczech, gdzie zatrzymywała się u swojej Omy Eriki; brakowało jej tego, odkąd Oma zmarła trzy lata temu. A teraz ta kartka – żywa sugestia, że w życiu Jany działały się rzeczy, o których Bethan nie miała pojęcia; że istnieli ludzie, którzy byli dla niej ważni; że trapiły ją pytania, na które poszukiwała odpowiedzi.

Czuła z mamą szczególną więź – i to teraz, gdy wydawało się, że wszelka łączność z nią została utracona.

Jeszcze tej samej nocy, kiedy wreszcie zostali z tatą sami, zapytała go o notatkę. Zareagował z gwałtownością błyskawicy.

– Skąd to, do diabła, wzięłaś, Beth?

Wyrwał jej listę z palców tak niespodziewanie, że aż podskoczyła.

– Znalazłam przypadkiem. Była w pudełku z biżuterią mamy, a mówiłeś, że wszystko w jej pudełku jest teraz moje. Czyli ta kartka też.

Ojciec zacharczał gardłowo, ale usiłował się opanować.

– Tak, kochanie, faktycznie tak mówiłem. Ale to głupstwo. Zwykła lista, lista... zakupów.

– Kim są te kobiety?

– Nie jestem pewien. Mama spisała to jeszcze w Niemczech. Myślę, że to koleżanki z lat młodości.

– Koleżanki? Naprawdę tak sądzisz, tato? Była tam jakaś hrabina, sam zobacz.

Próbowała odebrać mu kartkę, ale odsunął ją, przypadkiem rozdzierając róg; bała się kolejnych ruchów, bo lista mogłaby się całkiem podrzeć.

– Proszę, tato, oddaj. Chcę ją mieć. Mama to napisała.

– To też – odparł, po czym podniósł inną kartkę ze stółka nocnego, z rysunkiem dwóch słońi ze splecionymi trąbami. Ten pełen miłości liścik od mamy był najcenniejszym skarbem Bethan, ale i tak nie chciała odpuścić listy.

– Czemu robisz z tego taką tajemnicę? – zapytała z wyrzutem.

Ale ojciec nie odpowiedział, odsunął się tylko, powtarzając znów, że to zwykłe „głupstwo”, po czym opuścił pokój

i zszedł po schodach. Usłyszała trzask kosza na śmieci w kuchni. Trzymając srebrnego hipopotama w mocno zaciśniętej dłoni, leżała i wyobrażała sobie karteluszek gnijący wśród torebek po herbacie i obierków po ziemniakach, jednocześnie udając, że nie słyszy cichego szlochu siedzącego przed telewizorem ojca. Później, kiedy mężczyzna w końcu powlókł się do łóżka, dziewczynka zbiegła na dół, otworzyła kosz i przegrzebała jego rozmokłą zawartość, aż znalazła kartkę – poplamioną i zawilgotniałą, ale w całości. Nie lubiła oszukiwać taty, jednak była przekonana, że wbrew jego zapewnieniom lista kryła coś ważnego. Bethan miała wrażenie, że to wciąż żywy, utrwalony na piśmie kawałek mamy – i uczepliła się tego.

Palce powędrowały do broszki, wodząc po wklęsłych literach na masywnych nogach srebrnego hipopotama: BZ. Wtedy nie miała pojęcia, co oznaczają – odkryła to dopiero lata później, gdy wymyślono wyszukiwarkę Google, która dała jej podstawowe informacje o pierwszym nazwisku na liście: Katharina Heinroth – dyrektorka Ogrodu Zoologicznego w Berlinie po drugiej wojnie światowej. Wyglądało na to, że zoo było ważne dla jej matki – a to z kolei sprawiło, że stało się ważnym miejscem także dla Bethan, i to jeszcze zanim się tam zatrudniła.

Ostrożnie wsunęła kruchy karteluszek z nazwiskami do swojej skórzanej torby weterynaryjnej. Nadszedł czas, by udać się do nowego miejsca pracy, rozpocząć nowy rozdział w swoim życiu i spróbować rozwiązać tajemnicę listy. Wiedziała, że oba zadania będą wyzwaniem, ale czuła, że wreszcie jest na nie gotowa.

ROZDZIAŁ 1

– *Wilkommen!*

Bethan z uśmiechem wpatrywała się w napis na ozdobnym łuku wspartym na dwóch potężnych słoniach z marmuru. Czy naprawdę tak miało wyglądać wejście do jej nowego domu? Otaczał ją gęstniejący tłum odwiedzających; ludzie wskazywali na harcujące w klatkach małpy po lewej stronie i podbiegali do wybiegu pand, zażywających relaksu w bambusowym zagajniku naprzeciwko wejścia. Bethan bezwiednie dotknęła broszki z hipopotamem; miała ochotę skakać z ekscytacji.

– Tak się cieszę, że tu jestem – powiedziała po niemiecku do Elli, młodej lekarki weterynarii, która była na tyle miła, że odebrała ją z lotniska.

Ella miała dwadzieścia pięć lat, jedwabistą skórę o miedzianym odcieniu, burzę ciemnych loków zebranych w zadziorny kucyk i uśmiech, który najwyraźniej nigdy nie schodził jej z twarzy. Buzia Elli się nie zamykała – Bethan była jej za to wdzięczna, bo czuła, że przechodzi przyspieszony kurs odświeżający język. Włożyła dużo pracy w to, by nie stracić umiejętności porozumiewania się po niemiecku, ale brak mamy i codziennych

pogawędek sprawił, że siłą rzeczy jej umiejętności nieco się przykurzyły. Słuchanie tego języka – niegdyś ich sekretne „kodu” – w użyciu głęboko ją poruszało.

– Bardzo się cieszymy, że dołączasz do zespołu – oznajmiła Ella. – Tyle się dzieje, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Mamy okres lęgowy, porodowy i ledwo nadążamy. W zeszłym tygodniu wykuło się piętnaście żółwików, wczoraj przyszły na świat dwa szympansiątka, Reina też będzie rodzić lada dzień.

– Reina?

– Jedna z lwic. Nie przejmuj się, na pewno szybko nauczysz się imion. Chodźmy, zabiorę cię do naszego centrum weterynaryjnego i pokażę ci, co i jak.

Kolejka się rozstała na widok ciemnozielonego uniformu młodej kobiety, która pomachała do chłopaka z kasy biletowej, po czym ruszyła przed siebie, mijając wrzeszczące pawiany i pewnie stąpając po ścieżce okrążającej ich kamienisty wybieg. Posłała im całusa i poprowadziła Ellę na tył, gdzie stał niski, nowoczesny budynek. Drogę zagrodziły im potężne drzwi, ale przepustka Elli otworzyła je bez trudu i Bethan, zauważywszy, jak kilku odwiedzających zerka na nie z ciekawością, poczuła przypływ dumy. Była pracownicą zoo, miała dostęp do wszystkich zakamarków niedostępnych dla zwykłych ludzi – czuła się jak dziecko w sklepie ze słodyczami. Ta praca okazała się spełnieniem jej największych marzeń.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – spytał ją Callum rano, kiedy przeniosła torbę lekarską do wspólnego pokoju, by dopakować potrzebne rzeczy.

Zapamiętała go wyraźnie: siedział na łóżku, patrzył na nią ciemnobrązowymi oczami, marszczył czoło i skubał

luźną nitkę z poszwy kołdry z wizerunkiem drużyny Leicester City – był to chyba jedyny należący do niego element wystroju mieszkania.

– Przecież wiesz, jak bardzo chciałam pracować w zoo, Callum.

– A co było nie tak z zoo w Twycross?

Zamrugnęła zdziwiona, nie rozumiejąc, dlaczego, do diabła, tak długo zwlekał z wyrażaniem wątpliwości.

– Właściwie nic. Po prostu mają mniejszy dział badawczy niż ten w Berlinie. To dla mnie olbrzymia szansa, Cal, chyba rozumiesz. Czytałeś moją pracę doktorską o zwierzętach w niewoli. Twierdziłeś nawet, że była ciekawa.

– Bo była. Nie wiedziałem tylko, że aż tak cię... pochłonie.

– Pochłonie?

Znów skubnął nitkę, tworząc zmarszczkę na fragmencie nadruku z twarzą piłkarza Jamiego Vardy'ego.

– Jesteś pewna, że chodzi tylko o zoo, Beth?

– A o co niby miałoby chodzić?

– O twoją mamę – powiedział. – I o tę głupią listę, na punkcie której masz bzika.

Bethan wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Jak śmiesz? To nie jest głupia lista i to wcale nie główny powód, dla którego przyjechałam tę pracę. Jeśli tego nie widzisz, to może i dobrze, że trochę teraz od siebie odpoczniemy.

Chłopak aż podskoczył.

– Co masz na myśli? Odchodzisz ode mnie, Bethan?

Przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć „tak”. Nie układało im się najlepiej, odkąd Callum, który pod koniec zeszłego roku skończył trzydzieści pięć lat, zaczął

imprezować na potęgę, jakby chciał odgonić widmo nadciągającej starości. Bethan tego nie cierpiała – rok temu zaproponowała wspólne mieszkanie, by dzielić z nim przyszłość, a nie żeby pieniądze zaoszczędzone na czynszu wydawał na piwo – ale znajomi zapewniali ją, że to typowy męski kryzys i że jej kilkutygodniowa nieobecność ustawi mu priorytety. Żywiła nadzieję, że mieli rację, ale teraz i tak chciała się skupić na karierze.

W ich stronę szybkim krokiem zbliżała się dobrze zbudowana starsza kobieta i Bethan nachyliła się, by uścisnąć jej dłoń.

– Cześć, Tanya.

– Bethan, witaj w berlińskim zoo.

– Wspaniale w końcu tu być. Dziękuję, że zaprosiłaś mnie do zespołu.

Tanya, główna weterynarka zoo, która miesiąc temu przeprowadzała z nią rozmowę rekrutacyjną online, była wysoka, miała przenikliwe, szare oczy i długi warkocz, dużo jaśniejszy niż włosy Bethan w odcieniu truskawkowego blond. Potrząsnęła jej dłonią z entuzjazmem.

– Okazałaś się zdecydowanie najlepszą kandydatką, byłabym szalona, gdybym cię nie zatrudniła. Chodź, oprowadzę cię po naszym królestwie. Ella, czy mogłabyś...

Ale w tym momencie telefon Elli zabrzączał, a na ekranie wyświetlił się realistyczny awatar surykatki. Bethan przyglądała mu się ze zmrużonymi oczami, a Ella parsknęła śmiechem.

– To nasz wewnętrzny system powiadomień. Surykatka to mój znak i najwyraźniej jestem potrzebna w pawilonie hipopotamów. Przepraszam, Tanyo, ale może jednak ty oprowadzisz Bethan?

– Oczywiście – zgodziła się Tanya, ale zaraz jej własny telefon zapiszczał, a ekran wyświetlił żyrafę. – No proszę, mnie też wzywają. Trudno, Bethan, ruszamy od razu do akcji!

Bethan szybkim krokiem podążała za kobietami, mijając słonie pokazujące sztuczki swoim opiekunom i dwa ryjące w ziemi nosorożce; w końcu dotarły do futurystycznej szklanej kopuły. Szły szybko, a Bethan, obciążona torbami, zaczęła sapać. Próbowwała dotrzymać im kroku, gdy przedzierały się przez tłum zwiedzających i miały posąg hipopotama – zaskakująco realistyczny jak na odlew z brązu – połyskujący w wiosennym słońcu. Było w nim coś znajomego i Bethan przystanęła na moment.

– Knautschke – wyjaśniła Ella. – Ojciec, dziadek i pradziadek większości hipopotamów w naszym zoo.

– Wciąż żyje?

– Skądże. Urodził się w czasie wojny. Podobno o mały włos, a by jej nie przeżył, ale uratowano go w ostatniej chwili z płonącego budynku. Tędy.

Stojąca nad brzegiem wody opiekunka zamachała do nich, a gdy przepustka Tanyi otworzyła bramę, Bethan znów poczuła dreszcz ekscytacji, że należy do zespołu. Okazało się, że dwa młode hipopotamy pobiły się i jeden z nich, Klumpig, miał brzydką ranę na boku.

– Bez szycia się nie obędzie – orzekła Tanya bez chwili wahania. – Musimy zabrać go w bardziej ustronne miejsce.

Skinęła na gęstniejący za barierą wybiegu tłum, a opiekunka o imieniu Sonya pogłaskała czule głowę hipopotama, który patrzył na nią żałośnie. Bethan na moment wstrzymała oddech. Klumpig był co prawda młodym osobnikiem, ale nie należał do ułomków – poza tym miał ogromną paszczę i długie zęby. Uspokoilo ją, gdy

przypomniła sobie, że jest roślinożercą. To było zupełnie coś innego niż leczenie psów, kotów i chomików, do których była przyzwyczajona w gabinecie. Pochyliła się, by dotknąć skórzastego grzbietu zwierzęcia, jakby potrzebowała upewnić się, że jest prawdziwy. Za jej plecami inny hipopotam ryknął tak wściekle, że aż podskoczyła.

– Nie bój się, mama hipopotamica jest za bramą.

Bethan spojrzała i zobaczyła, że reszta hipopotamów została odgradzona metalową barierą przebiegającą przez naziemną część wybiegu i błękitny basen. Wkrótce Sonya przyniosła specjalne nosze, na których udało im się podnieść Klumpiga i przenieść go do części sypialnej, na tyłach pawilonu. Z tłumu rozległo się westchnienie rozczarowania, a Tanya się roześmiała.

– Naprawdę myśleli, że wyciągnę igłę na ich oczach?

– Z pewnością na to właśnie liczyli – odparła Ella. – Przepraszam, Bethan, rzuciłyśmy cię od razu na głęboką wodę. Zaraz zobaczymy, czy znajdzie się ktoś, kto będzie mógł cię oprowadzić.

– Nie ma pośpiechu – odparła Bethan, podczas gdy Tanya czyściła grubą skórę hipopotama.

– Tak będzie lepiej. Bez urazy, ale im więcej się tu nas kręci, tym bardziej denerwuje się matka tego malucha – zauważyła, kiwając głową w stronę basenu, skąd wciąż dobiegał zwierzęcy ryk. – Zawołam Maxa.

Nim Bethan zdążyła zaprotestować, Ella wyciągnęła telefon, otworzyła aplikację zoo i wybrała ikonkę zabawnego szympansa.

– Max, cześć! Mieliśmy mały wypadek w pawilonie hipopotamów. Masz chwilę, żeby oprowadzić nową weterynarke? Tę Angielkę, tak.

– Pół-Niemkę – poprawiła odruchowo Bethan, ale Ella ciągnęła dalej.

– Oczywiście, że możesz opuścić stanowisko pracy, Max. Dobrze ci zrobi chwila przerwy od twoich ukochanych małpisonów i rozmowa z kimś trochę bardziej rozwiniętym – zażartowała i roześmiała się perliście, słysząc odpowiedź faceta. – Nie ugryzie cię. Jest miła. I bardzo ładna.

– Ella! – zaprotestowała Bethan. Już czuła się jak starsza siostra mająca do czynienia z rozbrykanym młodszym rodzeństwem. – Naprawdę mogę gdzieś poczekać, aż skończycie.

Ella uciszyła ją machnięciem ręki.

– Dzięki, Max – zaświergotała. – Widzimy się za minutę. – Rozłączyła się. – Przyjdzie po ciebie. Zostaw torby tutaj i wracaj pod wejście. Tam się spotkacie.

– Ale... – zaczęła Bethan, jednak widziała, że Tanya i Sonya pilnie potrzebują pomocy Elli, i przyznała przed sobą, że ona sama tylko im przeszkadza.

Nieśmiało obeszła basen, boleśnie świadoma, że tłum śledzi każdy jej ruch. Znalazłszy się na zewnątrz, oparła dłoń o szeroki, brązowy grzbiet posągu Knautschkego, by się uspokoić. Jednak gładki dotyk metalu przywołał wspomnienie, które zakręciło jej i tak już nadwyreżonymi zmysłami.

Miała dziesięć lat, była w szortach oraz ulubionej koszulce z pingwinem, a jasne włosy zebrała w dwa kucyki. Na plecach niosła plecak z aparatem, notesem i różowym ołówkiem, którym zamierzała zapisywać wszystko, co zobaczy w zoo. Była z nią mama – i nagle Bethan wyobraziła sobie, że naprawdę cofa się w czasie. Wyciągnęła rękę, by dotknąć brzegu błękitnej sukienki

Jany. Natrafiła jednak na pustkę i cofnęła dłoń z obawy, że ktoś weźmie ją za wariatkę.

„To jest Knautschke, Bethie”, usłyszała w głowie głos mamy. „To po angielsku znaczy »przytulak«. Słodki, prawda?” Bethan przypomniała sobie, jak patrzyła w ogromną paszczę stworzenia z brązu i nie była pewna, czy „słodki” to faktycznie trafne określenie. Ale mama wyglądała na tak przejętą, że skinęła głową. „Chcesz usiąść na jego grzbiecie?” Zanim Bethan zdążyła odpowiedzieć, Jana posadziła ją na hipopotamie. „Wspaniała sprawa, prawda? Czyż on nie jest cudowny?”

Bethan zamknęła oczy, próbując zatrzymać w sobie tamten moment, i odetchnęła z ulgą, gdy telefon wyrwał ją z transu. Pisał tata.

Dotarłaś bezpiecznie, kochanie?

Uśmiechnęła się i wystukała odpowiedź.

Dotarłam. I jest super.

Na ekranie pojawiły się skaczące kropeczki.

Przysyłaj dużo zdjęć. Nie mogę się doczekać, aż przyjadę. Mam bilety na Wielkanoc. Już za tobą tęsknię. x

Ja za tobą też, tato. xxxxx

Dodała kilka dodatkowych krzyżyków, na szczęście, i wcisnęła „wyślij”. Callum uważał, że jej bliska więź z ojcem jest „dziwaczna”. Nigdy nie rozumiał, dlaczego

zaglądała do niego co kilka dni i tak często zapraszała na obiad. Chłopaka łączyła z Paulem miłość do sportu, więc tematów do rozmów im nie brakowało, ale on i tak twierdził, że taka więź z ojcem u trzydziestotrzylatki jest co najmniej dziwna. Może i miał rację, ale jeśli nawet, było to jej własne „dziwactwo” – i bardzo jej się podobało.

– Bethan Taylor?

Bethan drgnęła i podniosła wzrok na wysokiego mężczyznę o ciemnych, dłuższych włosach i intensywnie niebieskich oczach. Niecierpliwość miał wpisana w każdą linię smukłej sylwetki.

– Tak, to ja. Max?

Skinął głową.

– Max Femer, główny opiekun ssaków naczelnych i zastępca dyrektora zoo. Słyszałem, że potrzebujesz przewodnika.

Jego głos był niski i ciepły, ale mężczyzna mówił szybko, urywanymi zdaniami, jakby nie miał czasu na słowa. Bethan pospieszyła z odpowiedzią.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale domyślam się, że jesteś zajęty. Nie chcę zabierać twojego cennego czasu.

– Żaden problem. Mam właśnie wolne pół godziny przed karmieniem, więc zdążymy wszystko obejść, oczywiście przy założeniu, że się pośpieszymy.

– Ja naprawdę...

– Przy założeniu, że się pośpieszymy – powtórzył stanowczo, a ona zacisnęła usta i ruszyła w ślad za nim.

Max miał długie nogi i krok tak samo zdecydowany jak sposób mówienia, więc już po chwili Bethan znów z trudem łapała oddech. Dziękowała Bogu, że przywiozła ze sobą buty do biegania; naprawdę musiała wrócić do formy.

– Kanion orłów. – Wskazał ogrodzony gęstą siatką teren po prawej. – A tutaj mieszkają nasze niedźwiedzie. Wszyscy kochają te polarne, ale według mnie są przereklamowane. Wolę brunatne. Mniej pretensjonalne. Poza tym jak pewnie wiesz, są symbolem Berlina.

Bethan, prawie biegła, by dotrzymać tempa mężczyźnie, i nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale to nie miało znaczenia, bo Max szedł już dalej. Orowadzał ją po olbrzymim zoo w zawrotnym tempie, zgrabnie wymijając odwiedzających i raz po raz rzucając nazwami zwierząt: „pingwiny, zebry, bociany, pandy”. Bethan zatrzymała się, by przyjrzeć się tym ostatnim: cudownym biało-czarnym stworzeniom, leniwie przeżuującym bambus pod elegancką pagodą w chińskim stylu, ale Max tylko mruknął z dezaprobatą. Domyśliła się, że pandy także uważa za przereklamowane, i zmusiła się, by oderwać oczy od wybiegu. Miała tu przecież spędzić rok – będzie miała masę czasu, by nasycić oczy pięknymi zwierzętami. Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl i pobięła za opiekunem.

– A tu mieszkają małpy.

Zatrzymał się tak niespodziewanie, że prawie na niego wpadła. Wyciągnęła rękę, by nie stracić równowagi, i natrafiła na zaskakująco muskularne plecy. Szybko się cofnęła.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Spojrzenie jego ciemnych oczu mówiło coś zgoła odmiennego, ale w tej samej chwili przed ich oczami przeleciał trzymający się liny szympanś i twarz Maxa od razu złagodniała. – Binky!

Przeciągnął przepustkę, by otworzyć drzwi, i wszedł do środka, rozkładając ramiona. Szympanś rzuciła mu się

w objęcia z radosnym pohukiwaniem. Bethan patrzyła na nich jak zaczarowana i nie pomyślała nawet, by przytrzymać drzwi, które zatrzasnęły się za mężczyzną. Dopiero gdy Binky zaczęła podskakiwać, wskazując przy tym na Bethan, Max przypomniał sobie o jej obecności. Bez słowa przeciągnął kartę jeszcze raz i wsunęła się do środka. Binky – chociaż ona – ucieszyła się na jej widok i wyciągnęła dłonie, by wpleść szczupłe palce w jasne włosy kobiety. Bethan się roześmiała, Max – ku jej zaskoczeniu – także.

– Spodobałaś się jej.

– Czuję się zaszczyczona. – Beth ani drgnęła, gdy palce szympanscy dotarły do jej czaszki i zaczęły delikatnie pociągać za włosy u ich nasady. – Co ona robi? – spytała.

– Iska cię. Szuka pcheł.

– Mam nadzieję, że niczego nie znajdzie!

– Ja też. Zwykle „odrobaczamy” nowych na dzień dobry, ale zgaduję, że jeszcze nie przeszłaś procedury.

– Kwestia mojej higieny... – zaczęła, po czym dostrzegła błysk w jego ciemnych oczach i urwała. – Bardzo śmieszne.

Uśmiechnął się szeroko.

– Chodź, pomożesz nakarmić towarzystwo.

Binky doskonale знаła słowo „karmić”; w mgnieniu oka puściła włosy Bethan i wykonała imponujący sus na drugą stronę klatki, piszcząc z ekscytacją. Inne małpy zbiegły się natychmiast w radosnych podskokach i fikołkach. Bethan patrzyła na nie jak zahipnotyzowana. Drgnęła, gdy Max złapał ją za rękę i pociągnął w bok.

– Chodźmy, zanim zaczną szaleć – zarządził.

– Czyli teraz to niby nie szaleją? – spytała z niedowierzaniem, ale on już zmierzał do bocznych drzwi, a ponieważ

wciąż trzymał jej dłoń w swojej, niewiele mogła zrobić poza podążeniem za nim.

Jego uścisk był pewny, a skóra ciepła i twarda od fizycznej pracy; łaskotała jej własną, aż dziwne mrowienie przechodziło przez ciało. To pewnie zmęczenie – przekonywała samą siebie – zmęczenie i nadmiar wrażeń płynących z tego egzotycznego świata, w który została wrzucona tak gwałtownie. Max zatrzymał się w bocznym pomieszczeniu i spojrzał na ich złączone dłonie, jakby jego samego zaskoczył ten dotyk.

– Przepraszam – powiedział, gwałtownie cofając palce. – Małpy potrafią być trochę nieokrzesane wobec nowych osób.

– Nieokrzesane?

– Rozbrykane – poprawił się pospiesznie. – Rozbawione. Psotne. Chyba wiesz, co mam na myśli.

Max zwrócił się w stronę młodego mężczyzny, który właśnie wszedł do pomieszczenia z wiadrami owoców, a Bethan w końcu zyskała okazję, żeby uważnie przyjrzeć się swojemu niespodziewanemu przewodnikowi po zoo. Opiekun naczelnych musiał być ledwo po trzydziestce, podobnie jak ona. Biła z niego drżąca energia i wydawało się, że nie potrafi ustać w miejscu. Obserwowała, jak sprawdza porcje jedzenia, jednym okiem zerkając na zegar odliczający czas do pełnej godziny. Z wybiegu dochodziły zachłanne pohukiwania małp; ludzie gromadzili się, wskazując je palcami i śmiejąc się z ich wybryków.

– Ale gwiazdorzą – mruknął z uśmiechem Max, wracając do Beth. – Masz ochotę spróbować karmienia?

– Jasne!

– W takim razie chodź za mną. Rzucaj, jak najdalej potrafisz, żeby musiały biegać po swoje jedzenie. Dzięki temu karmienie potrwa dłużej, to ukłon w stronę widzów.

Bethan skinęła głową i spojrzała niepewnie na gąszcz lin i pnączy zwisających na wybiegu, przez które miała celować owocowymi pociskami; w duchu żałowała, że w szkole nie przykładała się bardziej na lekcjach wychowania fizycznego. Ale szympansy już uderzały się w piersi z ekscytacji, widząc, że ona i Max wchodzi na służącą do karmienia, umieszczoną nieco ponad nimi platformę – i nie było odwrotu. Chwyciła połówkę soczystej pomarańczy, odchyliła ramię i cisnęła. Owoc przeleciał aż pod wielkie okna i natychmiast rzuciły się po niego dwa szympansy.

– Niezły rzut.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ

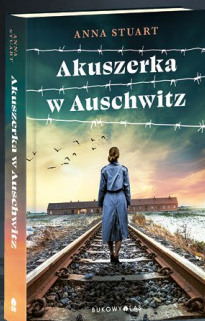


swiatksiazki.pl

INSPIROWANA FAKTAMI OPowieść o dziecku skrywającym SZOKUJĄCY SEKRET Z CZASÓW WOJNY

Berlin, 1943. Adelaide i jej nowo narodzona siostrzyczka zostają sierotami podczas nocnego bombardowania. Katharina Heinroth, strażniczka zoo przygarnia dziewczynki. Adelaide próbuje odciąć się od wojennej grozy, opiekując się małą siostrą i bawiąc się z małpkami. Katharina podejmuje ryzykowną akcję ratunkową. Niestety nie przebiega ona zgodnie z planem. Wtedy Adelaide składa przybranej matce przysięgę – dochowa sekretu, który na zawsze odmieni jej życie.

Berlin, 2019. Uwagę Bethan przykuwa siedząca obok niej na ławce starsza pani, która przedstawia się jako Ada. Zaczyna snuć opowieść o swoim dzieciństwie. Nagle pada znajome imię... Czy po latach milczenia Ada pomoże Bethan odkryć rodzinną tajemnicę?



bukowylas.pl

Cena: 34,99 zł